

Wojciech Stanisławski: Duszne duchi

Książka znawcy kultury rosyjskiej oparta została o fascynujący koncept – który pod koniec lektury rozwiewa się jednak jak woń zbyt ulotna (w rodzaju zapachu świeżych poziomek czy rozkrojonego przed chwilą arbuza), by mogła stać się składową perfum.

Karl Schlögel w Polsce znany jest przede wszystkim za sprawą swojej monumentalnej pozycji „Terror i marzenie: Moskwa 1937” (Wydawnictwo Poznańskie, 2012), choć ukazało się również kilka innych jego książek, czasem w niewielkich, czasem wręcz w niszowych oficynach. Od lat też publikował na łamach m.in. „Zeszytów Literackich” i „Przeglądu Politycznego”, dał się więc poznać jako wybitny znawca nie tylko kultury i idei rosyjskich XX wieku, lecz i wszelkiego rodzaju pokrewieństw i zależności między elitami Moskwy, Petersburga, Berlina i krajów Europy Środkowej oraz między tak bliskimi sobie kręgami piekła jak światy artystów, polityki i służb specjalnych. Jego prace, z „Moskwą 1937” na czele, przyrównałbym w pierwszej kolejności do dokonań współczesnych historyków kultury rosyjskiej, z nieco efekciarskim Orlando Figuesem czy (mniej znanym) Solomonem Wołkowem, z drugiej – z zapierającym dech w piersiach „Domem władzy” Yuri Slezkine’a (PIW, 2019), z trzeciej, w dalszej kolejności – z tekstami kilku autorów polskich, od Wojciecha Góreckiego po Piotra Skwiecińskiego. Wspólna im jest zdolność czytania źródeł różnego rodzaju i wydobywania z nich mikrosytuacji, mikrofaktów, które okazują się emblematycznym skrótem, tłumaczącym skręty i woluty historii. Oczywiście, porównanie ze

Slezkinem ustawia poprzeczkę bardzo wysoko – można jednak było mieć nadzieję, że taki pułap osiągnie również najnowsza wydana w Polsce praca Schlögla, czyli „Zapach imperiów”.

Szansę na to były tym większe, że punktem wyjścia książki jest – uwaga, *spoiler alert!* – epizod niemal nieznan, a tak pyszny, że nadaje się na wiersz, epitafium lub wykład inauguracyjny. Jak się okazuje, jest niemal pewne, że dwie kompozycje zapachowe – najbardziej możliwe znane perfumy XX wieku, czyli „Chanel No 5” oraz *duchi* epoki stalinowskiego empire’u, czyli „Czerwona Moskwa” mają wspólnego przodka. Bukiet zapachowy, który stanowił ich podstawę, czyli kompozycja z 1913, „Le Bouquet Favori de L’Impératrice” znany był dwóm francuskim twórcom perfum, czynnym w Moskwie w początkach XX wieku. Pierwszy z nich, Ernest Beaux, pracujący dla zakładów Rallet, wyemigrował do Francji, gdzie współpracując z Coco Chanel stworzył „No 5”. Drugi, Auguste Michel związany z firmą Brocard został w Moskwie i, jak ujmowały to ówczesne broszury, „stworzył podstawy radzieckiego przemysłu perfumeryjnego”.

Nie da się ukryć: jest to kontrast, który uderza w nozdrza i w umysł z siłą amoniaku. Paryski, wietrzejący przez cały wiek XX, lecz długo zachowujący swój powab *esprit* – i Sowiety, kojarzące się z wonią zmarłego żeliwa lokomotyw, prochu, krwi, mazutu i, być może, zleżałej, dusznej kropli wanilii, przetrwałej w wyszabrowanych futrach? Zestawienie poruszające jak kadr Eisensteina, pyszny punkt wyjścia dla wielu opowieści: o tworzeniu imitacji piękna pod rządami terroru, o grze, podjętej przez stalinowskich *kulturträgerów* ze splendorami i urokami „dawnej, carskiej Rosji”, o estetyce stalinowskiego empire’u. A jeśli pociągnąć tę opowieść dalej – o „żywotach równoległych” dwóch kobiet, które stały za narodzinami tych perfum („Czerwona Moskwa”

bowiem, choć powstała w epruwetach Michela, zawdzięczała swój sukces zawiadującej w tym czasie przemysłem kosmetycznym Polinie Żemczużynie-Mołotowej), o przepływie idei między Paryżem a Moskwą w XX wieku (Coco obracała się w kręgach „białej”, emigracyjnej arystokracji rosyjskiej – za jej pośrednictwem dotarła do Ernesta Beaux, za jej też sprawą poznała idee nowoczesnego antysemityzmu; paryscy *poputczycy* komunizmu zaś podziwiali Mołotową na stanowisku komisarza). Ba, można położyć podwaliny pod nową gałąź historiografii, „historię olfaktoryczną”, która opisywałaby przeszłość odwołując się do najtrudniejszego do zwerbalizowania zmysłu i opisując ją przy pomocy woni swoistych dla różnych epok. Można popełnić świetne studium historii gospodarczej, porównując wolnorynkowy triumf marki Coco oraz mastodonci wdzięk (ale i moc) sowieckich branż konsumpcyjnych: krawieckiej i mydlarskiej. Można by napisać to wszystko – choć trudno zmieścić takie wywody na niespełna 300 stronach obficie ilustrowanej książki, ze zdumiewająco w dodatku hojnym odstępem między wersami, kojarzącym nam się bardziej z lekką powieścią obyczajową niż esejem czy monografią.

Co więcej, Karl Schlögel postanowił spróbować wszystkich wyżej wspomnianych formuł i jeszcze pół tuzina innych – tyle, że żadnej z nich konsekwentnie. Znajdujemy więc w „Zapachu imperium” akapity o paryskich elitach lat 30. (nie umywające się, niestety, do prac tak znakomitych jak „Paryż 1938” Piotra Szaroty czy „Lewego brzegu” Herberta Lottmana) i o kolaboracji Coco z nazistami, próby „wypominek olfaktorycznych” samego autora czy cytowanego przezeń historyka rosyjskiego perfumiarstwa Konstantego Wierigina (obu zabrakło, niestety, talentów Vladimira Nabokova czy Marcela Prousta). Sympatyczne, choć wyrywkowe, quasi-reporterskie spostrzeżenia Schlögla z Rosji epoki pierestrojki i lat 90. (tu jednak nie dotrzymałby pola zapiskom Hugo-Badera czy Stasiuka) oraz – rozczarowujące chyba

najbardziej – usiłowania wskazania jakiejś głębszej, ukrytej prawdy o paralelizmie i odmienności dwóch potęg, nazistowskiej i komunistycznej. Czasem Schlögel odwołuje się w tym celu do świetnej „historii założycielskiej” dwóch flakonów perfum, przywołując ją po raz drugi, trzeci i piąty – czasem sięga po paralelizmy znane od dawna, w rodzaju dwóch najbardziej imponujących pawilonów na Wystawie Światowej 1937 roku, wzniesionych przez Trzecią Rzeszę i ZSRS. Każdorazowo jednak w usiłowaniach tych dostrzegałem rodzaj mistagogii, stosowniejszej w eseju niż w pracy naukowej (choć i tam nie do końca na miejscu) – czyli poprowadzenia czytelnika na próg sugerowanej przez autora mrocznej tajemnicy, którą należy samemu odkryć.

Być może – to już recenzencka archeologia spekulatywna – „Zapach imperiów” jest czymś w rodzaju bajaderki, „produktem ubocznym” sklejonym z pozostałości po poważniejszych pracach? A może – spełnieniem zaciągniętego przed wydawcą obligu? Za tym ostatnim przemawiałyby nie tylko nużące czasem powtórzenia (życiorysu Auguste Michela, przebiegu kariery zawodowej Żemczużyny, zmiennej popularności „Czerwonej Moskwy”, lekceważonej w latach 70., odnowionej w dwadzieścia lat później), lecz i zaskakujące nieścisłości. W „Bagatelles pour un massacre” Celine, owszem, przywoływał również swoje obserwacje z podróży do ZSRS, nie jest to jednak w żadnym razie główny temat tego okrutnego i żrącego pamfletu. Zważywszy, że Chiwa od 1873 cieszyła się tylko nominalną autonomią w granicach Imperium Rosyjskiego, trudno wymieniać ją jako jedną z zagranicznych destynacji eksportowych powstałej w roku 1900 perfumiarni Köhlera. Ryzykowne jest pisanie o Poli Mołotowej-Żemczużynie jako „postaci zupełnie nieznaney” przez historyka, który powinien znać zarówno szkic o niej Żoresa Miedwiediewa, jak prace Radzinskiego; i tak dalej.

Renomowany wydawca, jakim jest oficyna słowo/obraz terytoria miał szansę skorygować te uchybienia, szczególnie zapewniwszy sobie, jak dowiadujemy się z kolofonu, konsultacje merytoryczną, lecz i nie pożałowałszy środków na świetną okładkę projektu Joanny Kwiatkowskiej (mięsisty karton, wypukły druk i szokujące, lecz elektryzujące zestawienie wściekłego rózu i rewolucyjnej czerwieni; „Zapach imperiów” będzie przyciągał wzrok w każdej witrynie, w której się znajdzie!). Zamiast tego jednak nie pożałowano błędów innego rodzaju. Czytelnicy ciekawi dziejów kultury rosyjskiej nie muszą być co prawda specjalistami w zakresie chemii organicznej, towarzyszące jednak akapitom o nowoczesnym perfumiarstwie objaśnienie „alkohol przechodzi w kwas podczas utleniania, to jest pod wpływem tlenu” stawia jednak chyba zbyt wiele kropek nad i – i domaga się redakcji lub wykreślenia. Kłopot zresztą nie tylko z chemią organiczną: zamiast oczywistego, mającego prawo obywatelstwa w słowniku historyków sztuki terminu „krakelura” w książce wspomina się o „pęknięciach (*craquelé*)”. Inna rzecz, że w tym wypadku pomylił się chyba nie tylko tłumacz, lecz i Schlögel: reprodukowany flakonik (projektu Kazimierza Malewicza!) wydaje się pokryty nie tyle krakelurą, co siatką odlanych w szkle płytkich szczelin.

Zabrakło również redakcji przy objaśnieniach dotyczących terminologii sowieckiej: podczas, gdy szczerze objaśniane są takie rosyjskie nazwy własne jak „Swoboda” (Wolność) czy „Czołg” (Tank) – inna rzecz, że w niekonsekwentnym szyku: raz pojawia się najpierw termin rosyjski, raz polski – pozostawiono bez komentarza zdanie „...zakład przekształcony w fabrykę «goznaków», to jest radzieckich banknotów”. Istnieje spore ryzyko, że termin „goznak” uznany zostanie przez polskich czytelników za imię własne dyrektora wytwórni papierów wartościowych – może Udmurta lub Karakałpatę? – gdy tymczasem

chodzi o typowy sowiecki sylabowiec: „goznaki” to nic innego jak *gosudarstwiennyje znaki*, czyli właśnie państwowe druki, odznaczenia i monety.

Co tam jednak poczciwe goznaki! Dramat zaczyna się przy transliteracji i zapisie rosyjskich nazw i nazwisk, zapisie zdradzającym poważne deficyty kompetencyjne. Kijowska fabryka perfumeryjna „Ałyje parusa” została zapisana w książce z niemiecka jako „Alje Parusa”: można nie znać lekko-jaśminowych perfum z sowieckiej Ukrainy, ale nie słyszeć o należącej do klasyki rosyjskiego Srebrnego Wieku powieści Aleksandra Grina pod tym samym tytułem (przełożonej zresztą na polski jako „Szkarłatne żagle”)? Biochemik i geriatra Aleksandr Bogomolec zapisany został (jak rozumiem, również za niemieckim oryginałem książki) jako „Bogomoletz”; co ciekawe, tylko w treści „Zapachu imperiów”, na podpisie pod zdjęciem i w indeksie nazwisk widnieje już jako Bogomolec.

Jednak prawdziwy koszmar zostawiam na koniec. W rozdziale, traktującym o promieniowaniu wzorów kulturowych i fascynacji, jaką nawet za żelazną kurtyną budził w Rosji Paryż, wspomniany został niezapomniany występ w teatrze Varietes dobranej ekipy *monsieur* Wolanda. I mimo, że tłumacz korzystał w trakcie pracy nad przekładem Schlögla z kanonicznej wersji polskiej „Mistrza i Małgorzaty”, w tłumaczeniu Witolda Dąbrowskiego i Ireny Lewandowskiej (dłuższe fragmenty powieści przytoczone są z wydania polskiego z 1969, co zaznaczono w przypisach), zapowiadający występ maga, Fagota i kocura konferansjer został opisany w „Zapachu imperiów” jako „Georges Bengalski”.

Georges zamiast Żorża!! Przeoczony nie tylko przez tłumacza, lecz i przez konsultantkę merytoryczną, redaktorę i korektorkę! Przyznam, że był to jedyny moment, gdy książka Karla Schlögl'a, zamiast świeżym papierem (kiedy ktoś stworzy perfumy o tej nucie?) zapachniała mi przez chwilę wodą toaletową „Priwiet Czeluskinam” (nb. zapisaną w książce jako „Priwiet Czeluskinam”).

Wojciech Stanisławski



Karl Schlögel, „Zapach imperiów. Chanel No 5 i Czerwona Moskwa”, tłum. Tomasz Ososiński, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2024

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
